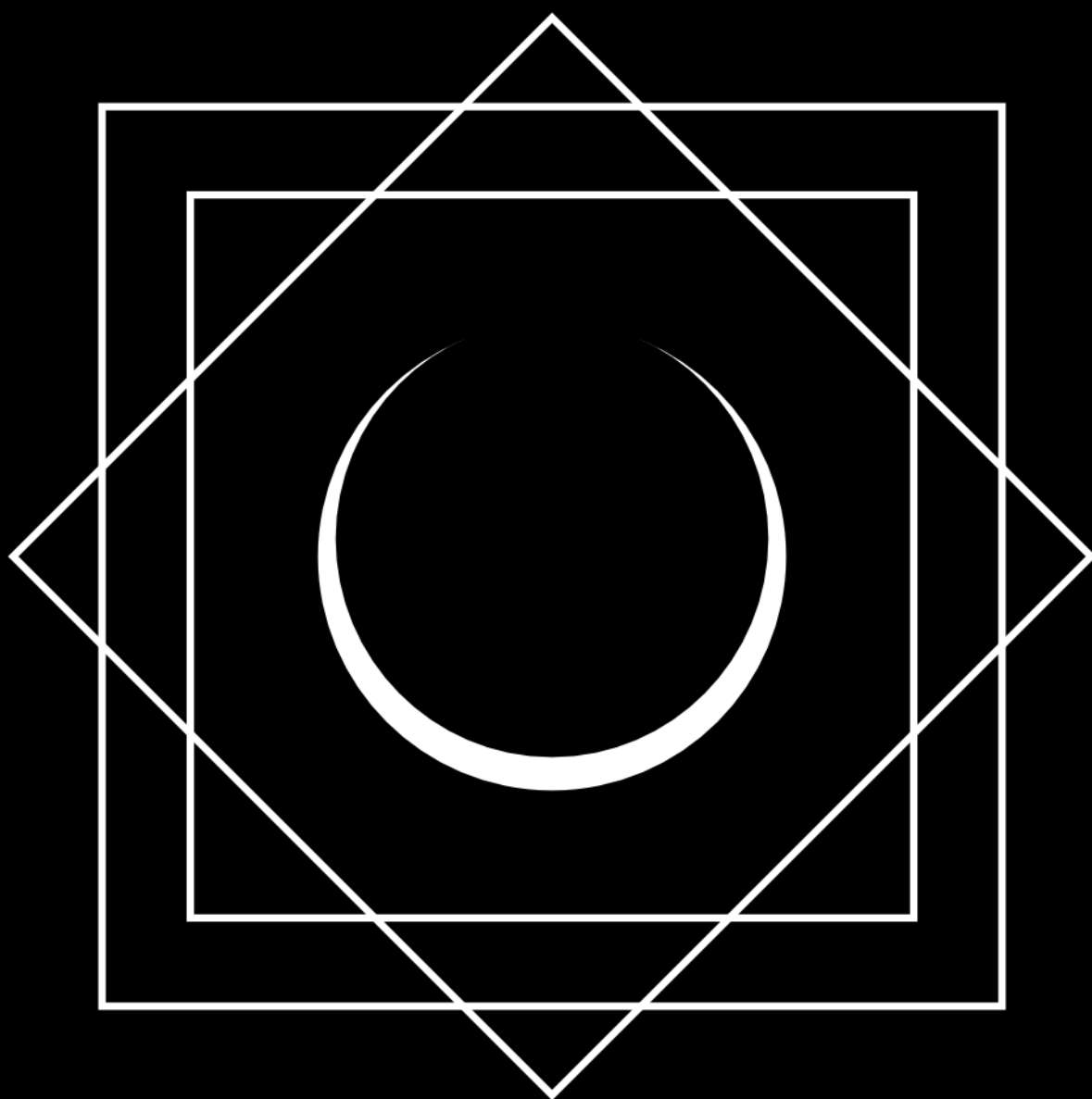






K R Z Y S Z T O F
FISZER

Zbiór tekstów lirycznych

2008 – 2024

Wydanie I, 14 II 2026, ISBN 9788398001809

© Krzysztof Fiszer. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Jedenaście wierszy

Polskie teksty liryczne, które po raz pierwszy
ukazały się w publikacji pt. „Jedenaście wierszy”.

Ja i Ty

~ 2008

Ja i Ty — dwie baśnie.

Rozmowy nasze — przyjemne właśnie.

Twój uśmiech — perła wśród rdzy.

Spojrzenie twoje — me szczęścia łązy.

Gdy brzmi twój słodki śmiech — me serce w obłędzie

I ma nadzieja, że pokochasz mnie, dając początek wspólnej legendzie.

Szpetne serca

~ 2017

Serce zalane morzem płomieni

Namiętnie bije krwią — pulsem czerwieni.

Popiół opada po ogniskach lata.

Szarość przykrywa twarz dawnego świata.

Ciepła dłoń z dłonią na wieczność złączona.

To symbol przyjaźni.

To miłość spełniona.

To błogie milczenie i pełna akceptacja.

Tak ulotna, choć trwała, iskrząca relacja.

Oczyszcza serce z cieni.

Z czerwieni.

Z płomieni.

Teraz szybciej przemija mój czas

19 V 2018

Nadzwyczajne życie wie dzie ten, który nigdy nie otworzył oczu swych
Na ten pusty i głuchy świat ludzi, na ten szary ludzki świat.
Te zwyczajne ruchy wątłych ciał, te spojrzenie bladych oczu twych,
Przypominają mi starą książkę, w której niegdyś wysechł piękny kwiat.
Bardzo piękne życie wie dzie ten, który w łonie matki tką słodkie sny
o bajecznej przygodzie życia, o miłości i świetle we mgle.
Spuszczone powieki i ściśnięta pięść, płonące policzki i słone łzy;
Odganiają ode mnie marzeń smak, pozostawiając blizny wypukłe.

Teraz szybciej przemija mój czas.
Od dawna nie ma już ciebie i nas.
Teraz mniej miejsca mam już wokół siebie.
Od dawna nie czułem się nawet w potrzebie.
Na Księżyc i gwiazdy nie spoglądam często.
Nie patrzę na tve słońce, tve chmury i niebo.
Tylko czasami, gdy nie patrzy na mnie cały świat,
Wspominam twój ciepły uśmiech, dotyk twej dłoni i przyjazną twarz.

Niezapowiedzianym zdaniem odpychasz moją twarz od powierzchni czarnego okna.
Nie wiedząc, dlaczego tak czynię, odsuwam się dalej, wciąż dalej i nie chcę zacząć od nowa.
Kwadrat światła nie dociera już do mnie tak jak niegdyś, gdy słońce znało mój adres.
Chciałbym odwrócić się i pobiec, lecz wiem, że za mną jest tylko ściana, ściana i ściana.
Więc stoję i patrzę, nie widząc wiele z tej nowej odległości.
I zaczynam myśleć sobie, że za oknem ludzie są prostsi.
Nie mają problemów, nie mają zmartwień, nie mają uczuć i marzeń.
Tylko ja je mam, tak sobie powtarzam, tylko ja je mam, bo jestem sam.

Przypominam sobie, że kiedyś miałem drzwi.
Mogłem otworzyć je na świat i wszystko poza nim.
Teraz nie mogę ich znaleźć, chyba pokryłem je tapetą;
Zamurowałem lub obróciłem w szary dym.
Szkoda, bo były ładne, czerwone z małymi błękitnymi szybkami.
Najwidoczniej miałem dość, więc pozbyłem się ich własnymi dłońmi.
Teraz mam tylko czarne okno, choć na czarne wcale nie wygląda.
A tak mu źle z oczu patrzy, tak czarno i ponuro na mnie spogląda.

Pieprzyć okno, pieprzyć ciebie, drzwi i mnie.
Ściana może i stoi, być może ja tu nadal tkwię.
Najwidoczniej tak mi wygodnie, tak mi lepiej, przynajmniej na razie.
Pewnego dnia wybije dziurę na nowe drzwi i ładniejsze okno wstawię.
Teraz siedź tam, dokąd dotrzeć nie mogę z miejsca, z którego teraz patrzę.
Nie przechodź przed moim oknem, aż pamięć o tobie całkowicie się zatrze.

Drzwi nie mam; za to mam czarne okno, cztery ściany, sufit i podłogę.
Mam mnie, mam obok mnie z lewej i z prawej, przede mną, za mną, pode mną i nade mną.
Mam cień na ścianie, świat za szybą, światło w pokoju, dotyk, wzrok, smak, węch i słuch.
Mam plany i zamiary; mam wszystko, czego mi potrzeba.
Tylko ciebie nie ma i dla ciebie nie ma mnie.
I chuj. Pozamiatane.

Pieprzyć ciebie. Pieprzyć mnie.

Bajki Polskie

Polskie teksty liryczne oraz towarzyszące im ilustracje,
które po raz pierwszy ukazały się w publikacji pt. „Bajki Polskie”.



Trzęsie, trzęsie, trzęsie nogą.
Czy to miłość, czy to żart?
Trzęsie, trzęsie, trzęsie nogą.
To nie miłość, to psi gwałt!
Do twoich butów sika, śpi pod stołem.
Nie wchodzi do środka, bo pies zły.
Na suchą karmę wiecznie kręci nosem.
Do kielbasy szczyrzy kły.

Pies na gwałt to nie zabawka,
To poskramiacz zgrabnych nóg.
Pies na gwałt to nie kochanek,
Tylko nasz publiczny wróg.

On sika, sika, sika w domu.
Co za śmierdziel! Co za pchlarz!
Twój tyłek wacha ciągle po kryjomu.
Co za zboczeniec! Podły pchlarz!
Do sąsiadów biega ruchać sukę.
Zostawia ślady, zbiera pchły.
Na Wigilię mówi ludzkim głosem
Ironicznie szczyrząc kły.

Jaki smród! To nie ode mnie.
To się właśnie zbączył pies.
Łajna w bród! To nie ode mnie.
Tutaj właśnie nasrał pies!

Pies na gwałt to nie zabawka.
To poskramiacz zgrabnych nóg.
Pies na gwałt to nie kochanek,
Tylko nasz publiczny wróg.

Pies na gwałt trzęsie nogą.
Trzęsie nogą, że hej!
Pies na gwałt trzęsie nogą.
Trzęsie nogą.
Trzęsie nogą, że hej!



Słowem, którego szukam jest patologia.

To z niej utkana jest moja historia.

Twarz mi obije.

Nogi przetrąci.

Zwiąże nadgarstki.

Połamię nos.

I nie chce mi się żyć na tym świecie.

Już siły nie mam zmagać się z dniem.

Depresja w słońcu, płacz w toalecie.

Pozostanie po mnie tylko mój cień.

Więc dobij mnie.

Dobij mnie.

Dobij.

TYLKO NIE MŁOTKIEM!

Słowem, którego unikasz jest agonia.

To z niej spleciona jest moja pięść.

Twarz ci obiję.

Nogi przetrączę.

Zwiążę nadgarstki.

Połamię nos.

Odechce ci się żyć na tym świecie.

Siły pozbawię na zmaganie się z dniem.

Depresja w słońcu, płacz w toalecie.

Pozostanie po tobie tylko twój cień.

I wołać będziesz.

Dobij mnie.

Dobij mnie.

Dobij mnie.

Dobij.

TYLKO NIE MŁOTKIEM!



Letnie słońce grzało tak mocno.
Ta kula białego ognia.
Me młode stopy grzały tak mocno
Ziemia, asfalt i beton.
Mą dziecięcą głowę, moją twarz i ramiona.

Jasne niebo tamtego dnia niczego nie niosło.
Ni wiatru, ni chmury, ni łez.
Schnąca trawa bledła, zieleniały dzikie zarośla.
Nie spadł tego lata deszcz.
Na dziecięcą głowę mą, na twarz i ramiona.

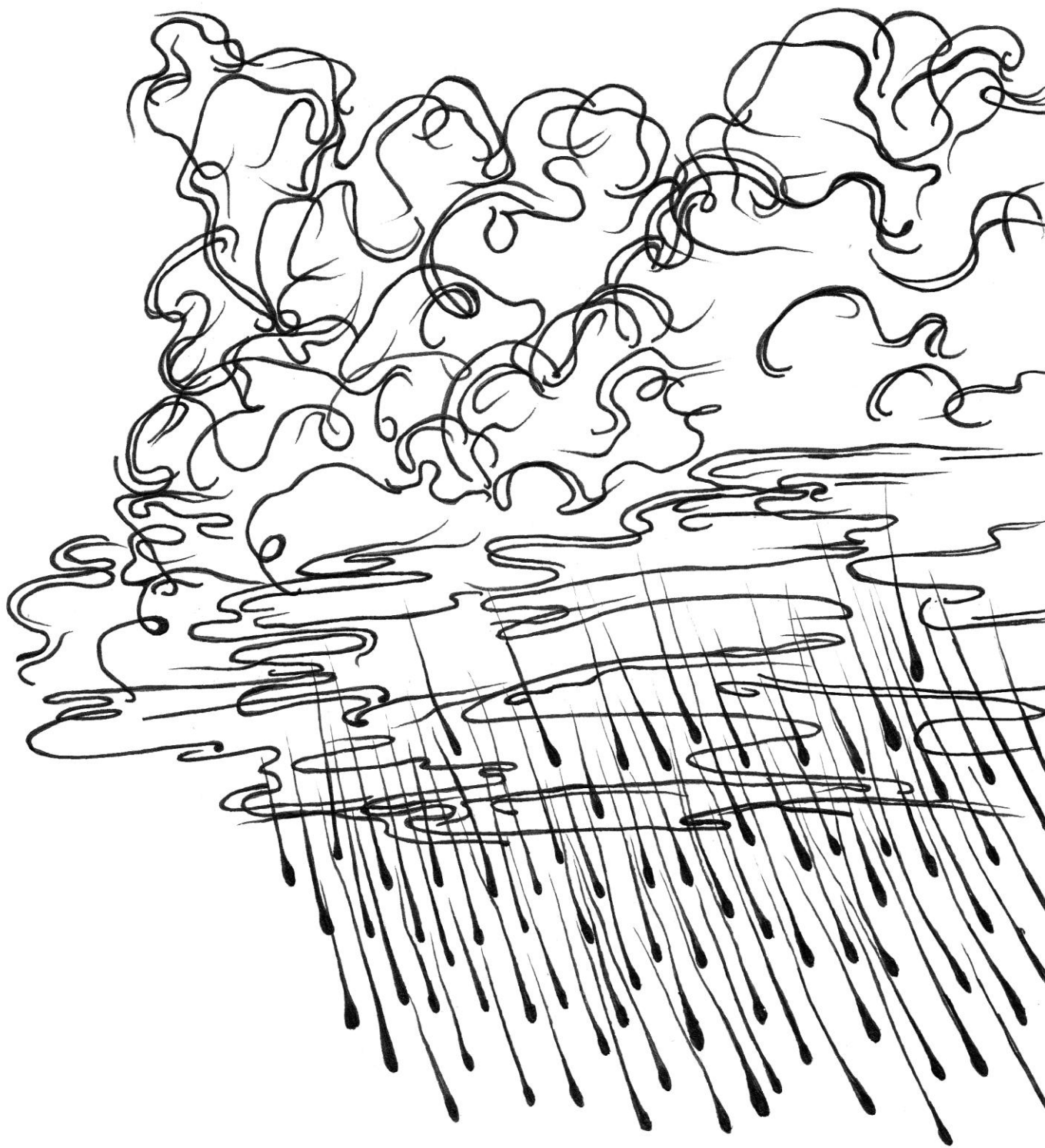
Bieda ścisnęła gardło od lat.
Kran zamarzał w zimę na lód.
Prądu brakło, co raz, co raz.
Nic, tylko nasz smutek i chłód.

Znalazłem jajko i mówili, że to zbuk.
Ja i tak je wziąłem.
Do kieszeni schowałem.
Rozgrzane jajko, a w nim podły smród.
Lecz moje to było jajko, tylko moje.

W końcu się ono w kieszeni otwarło.
Wylała się z niego zawartość i swąd.
Zawiedziony byłem i smutny,
Bo łudziłem się, że to nie był zbuk.

Letnie słońce grzało tak mocno.
Ta kula białego ognia.
Me młode ciało grzały tak mocno
Rydwanu złotego płomienie.
Mą naiwną głowę, moją twarz smutną i dłonie.
Tak do tej pory mi zostało.
Chcę widzieć w zepsuciu rzeczy całe i piękne.
Tak do tej pory mi zostało.
Naiwność dziecka, żar gorejącego słońca.

To letnie słońce grzało tak mocno.
To letnie słońce grzało.



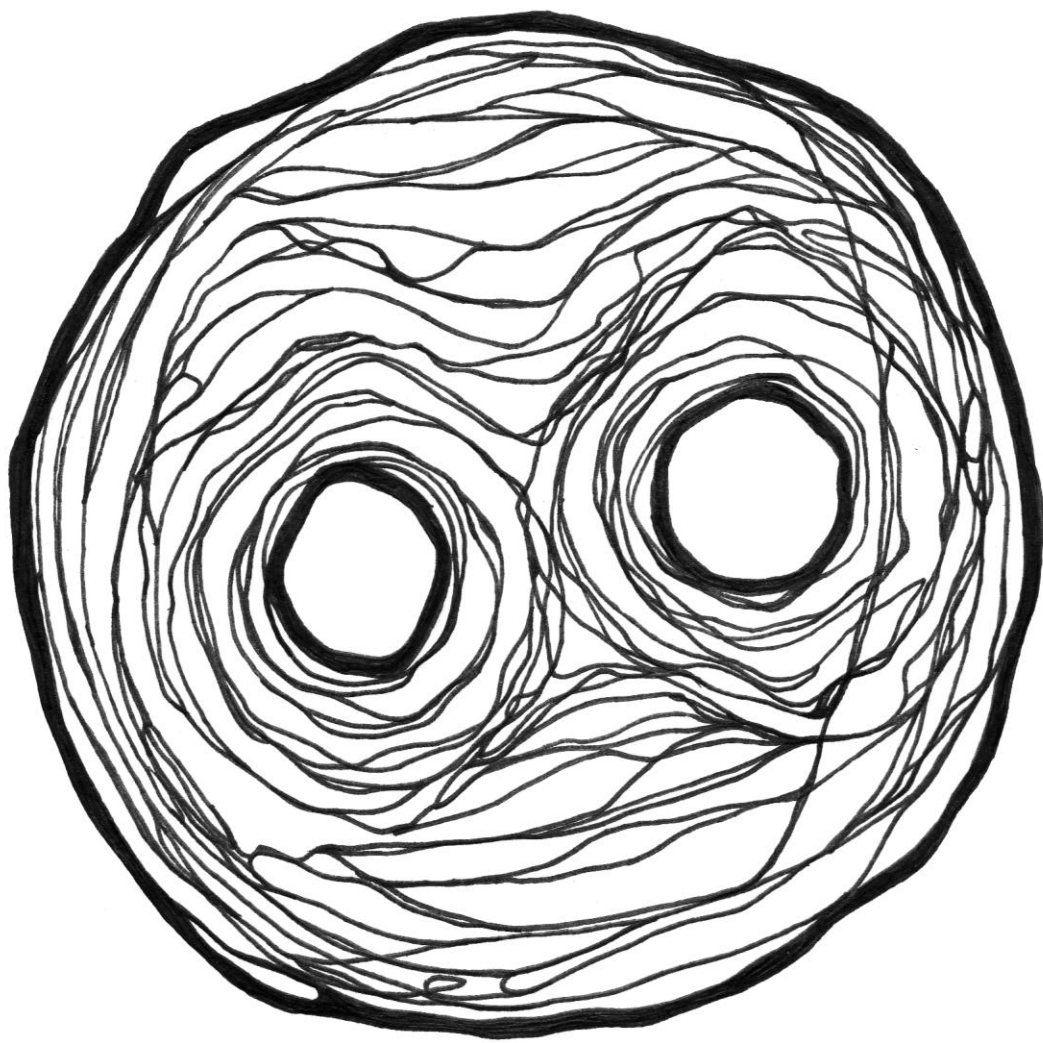
Pogasły światła, choć dzień jeszcze nie minął.
Wszelka elektryczność w wiosce zanikła.
Zniżyły lot ptaki, lecz żaden z nich nie zginął.
Szarża wiatru z południa zupełnie ucichła.

Burza już nadciąga, więc zamknij swe okienko.
Burza już nadciąga, więc chowaj się panienko.
W deszczu już się nie tańczy.
Nie łapie się strug letniej tęczy.
To burza już nadciąga.
Zapal białe świecezki.
Módl się do Mateczki.

Pyłem i suchą ziemią miotało przez dzień cały.
Żar lał się na nas z nieba nieustannie.
Ptaki latały wyżej i wyżej, aż z oczu nam znikwały.
Powietrzem falowało tak starannie.

Burza już nadciąga, więc zamknij swe okienko.
Burza już nadciąga, więc chowaj się panienko.
W deszczu już się nie tańczy.
Nie łapie się strug letniej tęczy.
To burza już nadciąga.
Zapal białe świecezki.
Módl się do Mateczki.

Ściana deszczu sunie ku naszej małej wiosce.
I czeka na nią ziemia, tak, jak my na wiosnę.
Burza ciągnie nad lasem i szumią drzew korony.
Przyjdź tu do nas deszczu, przybądź w nasze strony.



Bawiliśmy się kiedyś na dywanie we troje.
W naszym pokoju, gdzie spaliśmy we troje.
Mały pokój, mały świat.
Ogrom naszej wyobraźni.
Kilka wiosen, kilka lat.
Autostrada wyobraźni.

Pudełko drewniane, wieczka malowane.
Dwie szufladki po lewej stronie
I dwie po stronie prawej.
Pudełko drewniane, szufladki obracane.
Wypełnione po brzeg guzikami.
Związane naszymi marzeniami.

Bawiliśmy się kiedyś guzikami we troje.
Wy mieliście swoje i ja miałem moje.
Mały parking, wyjazd, wjazd.
Zbudowane guzikami.
Tutaj zakręt, a tu zjazd.
Wyłożone guzikami.

Pudełko drewniane, wieczka malowane.
Dwie szufladki po lewej stronie
I dwie po stronie prawej.
Pudełko drewniane, szufladki obracane.
Wypełnione po brzeg guzikami.
Związane naszymi marzeniami.
Dziecięcymi marzeniami.



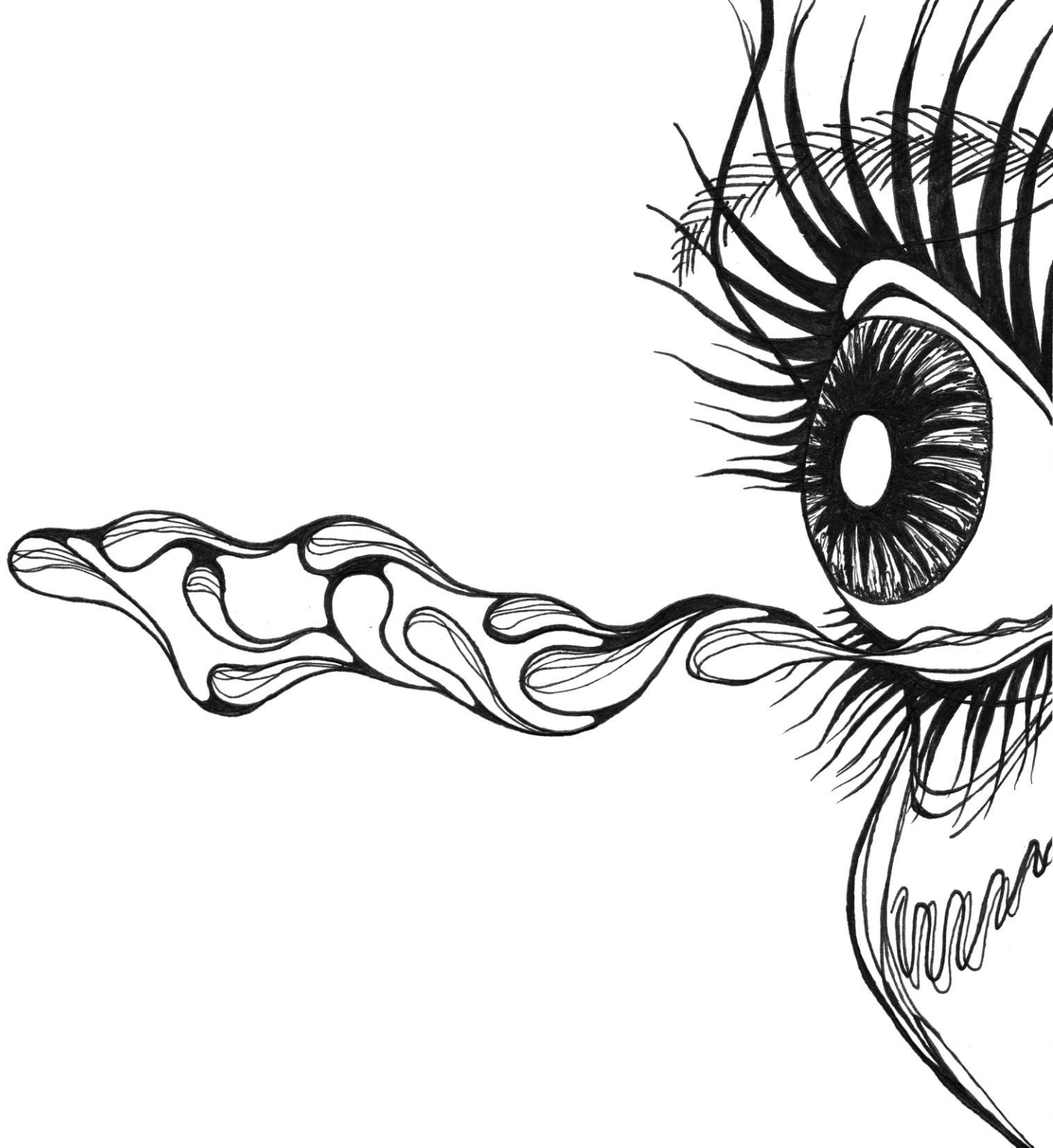
Ubranie przemokło, gdy śnieg stopniał od ciepła mego ciała.
Choć zima nie szczędziła mrozu i policzki nam szczypała.
Śmialiśmy się jak szaleni. Jak szaleni pędziliśmy w śnieg.
I chcieliśmy więcej, więcej zimy. Wciąż chcieliśmy biec.

Nie ma już takich zim, co kiedyś.
Nie ma już takich nocy i dni.
Nie ma już zasp ze złota białego.
Nie ma naszych zimowych dni.

Śnieżne bałwany rosły dzięki szczęściu dziecięcych serc naszych.
A zima nie szczędziła nam bieli, tworzyła zaspę aż po pachy.
Kładliśmy się w nich co raz, co raz, skąpani w śnieżnej bieli.
Pozostawialiśmy po sobie ślady, co wyglądały jak biali anieli.

Nie ma już takich mrozów co kiedyś.
Nie ma już białych nocy i dni.
Nie ma zamieci ze złota białego.
Nie ma naszych zimowych dni.

Nie skrzy się już biała powłoka.
Nie ma tych nocy, nie ma tych dni.
Nie ma obłoków pary z ust naszych.
Nie ma naszych zimowych dni.

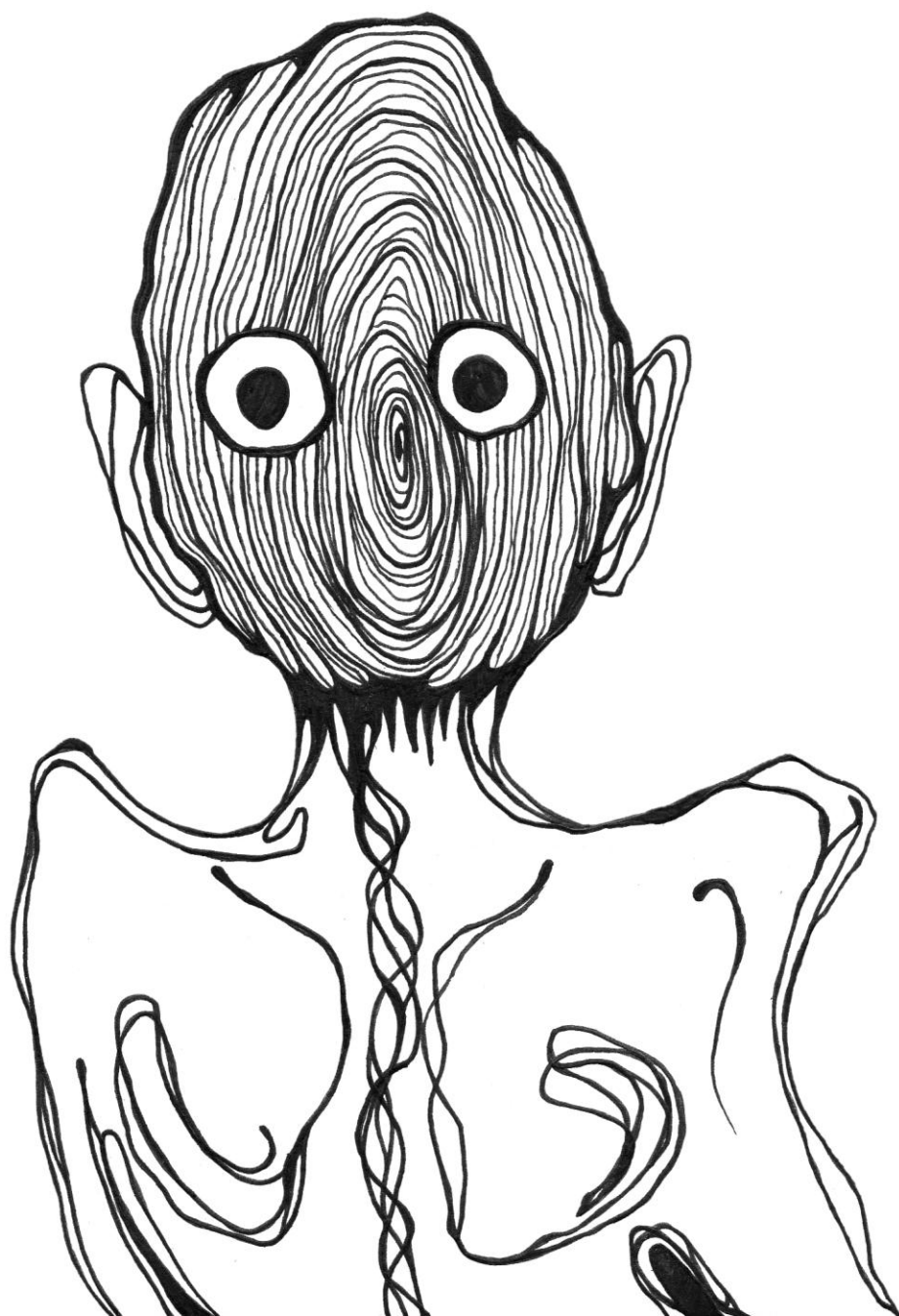


Znów stoisz przy oknie, spoglądasz na świat mały.
Bez ustanku szukasz wzrokiem znajomych twarzy.
Znów stoisz przy oknie, spoglądasz przez firany.
Nieustannie wyglądasz leku na twe świeże rany.
Oczy otwarte szeroko bez spoczynku szukają
Sposobu, aby uciec tam, gdzie cię nie znają.

Nie stać cię na nic, nawet na szczere łzy.
Bo za kim miałbyś płakać? Po co ronić łzy?
Nie masz niczego swojego.
Nie masz łóżka. Nie masz domu.
Nie masz niczego swojego.
Nie masz życia. Nie ufasz nikomu.
Nadal masz się za nic i śnisz czarne sny.
Kto miałby za tobą płakać? Po co ronić łzy?

Znów stoisz przy oknie, spoglądasz na świat mały.
Łudzisz się na zmianę losu, by szare dni ustały.
Znów stoisz przy oknie, spoglądasz przez firany.
Chcesz wyjść i chcesz zostać, tak niestabilne stany.
Oczy otwarte szeroko bez spoczynku szukają
Sposobu, aby uciec tam, gdzie cię nie znają.

Nie stać cię na nic, nawet na szczere łzy.
Bo za kim miałbyś płakać? Po co ronić łzy?
Nie masz niczego swojego.
Nie masz pasji. Nie masz duszy.
Nie masz niczego swojego.
Nie masz serca, co łzy poruszy.
Nadal masz się za nic i śnisz czarne sny.
Kto miałby za tobą płakać? Po co ronić łzy?



Nasz świat cały pokrył kurz wczorajszych dni.

Niebywały był to widok dla mych oczu.

Niezwykajny był to smak dla twoich ust.

Krople deszczu z niechęcią mnie muskały,

Gdy przegrane były szanse naszych żyć.

Na wieki wieków, amen i kaplica.

Na wieki wieków, amen.

Za plecami twymi wieś zorana głupotą.

Za plecami mymi przeszłość cicho ginie.

Wichry wczorajszego lata nikną w nowym słońcu.

Mróz dawnych zim świeżą wiosną spłynie.

Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy.

Baba Jaga już na nas nie patrzy.

Cztery, cztery, cztery, cztery.

Wyzdychały renifery.

Pięć, sześć, siedem, pięć, sześć, siedem.

Chowa się wielu, szuka tylko jeden.

Tylko ten jeden.

Raz jeden.



Nie śnij dzień cały w aksamitnej niepewności.
Zetrzyj z liści gruszy barwy nieśmiałości.
Zmienne pory roku mieszają swe zalety.
Ze ścian tekturowych znikają wciąż portrety.
Dziadów i bab zmarłych w latach niknących.
Aniołów i diabłów przeciwko nam knujących.
Wyłóż czarne karty na dźwięczące blaty.
Przesuń białe złoto pod hebanowe stoły.
Zakończ swą pielgrzymkę stuletnią.
Zakwitnij jak paproć w noc letnią.

Wielkie cuda, gwiazdne dziwy.
Rozpalają liche serca, przegrzewają krew.
Karle widma, pogańskie dziwy.
Spopielają słabe serca, zamrażają krew.
Dusza wycieka wszystkimi żyłami.
Taka wątła.
Taka chwiejna.
Miłość kruszeje, zmęczona ciosami.
Taka wątła.
Taka chwiejna.
Taka chwiejna.

Wybuduj sobie dom z gruzów dawnych wojen.
Przemyj twarz pomarszczoną znojem.
Pędzące nogi przeganiają czas zegarów.
Odbierają nam ciężar młodych darów.
Piękno, naiwność, żądza i arogancja.
To naszej generacji zawistna reputacja.
Wyłóż czarne karty na dźwięczące blaty.
Przesuń białe złoto pod hebanowe stoły.
Zakończ swą pielgrzymkę stuletnią.
Zakwitnij jak paproć w noc letnią.
Wielkie cuda, gwiazdne dziwy.
Rozpalają liche serca, przegrzewają krew.
Karle widma, pogańskie dziwy.
Spopielają słabe serca, zamrażają krew.
Dusza wycieka wszystkimi żyłami.
Taka wątła.
Taka chwiejna.
Miłość kruszeje, zmęczona ciosami.
Taka wątła.
Taka chwiejna.
Taka chwiejna.



Ostatnimi czasy moje usta odmawiają rzewne klątwy.

Nie tylko z żądzы zemsty, co z ludzkiej powinności.

Bo jaki to ma sens, jaki plan, jaki cel,

Gdy jeden płacze z bólu, a drugi z przyjemności?

Ktoś musi stanąć im na drodze.

Ktoś musi wyrównać poziomy kontrastu,

By wszystko stało się byle jakie.

Bez zachodu słońca, bez pięknego brzasku.

Zobaczymy się w piekle, mój drogi przyjacielu.

Widzimy się po drugiej stronie, gdzie czeka na nas wielu

Morderców, podłych kłamców, pozornie prostych ludzi.

Do zobaczenia w piekle, mój drogi przyjacielu.

Przytrzymam ci czarne drzwi, bo życie masz już z głowy.

Więc wybierz sobie widły, zakładaj już podkowy.

Przez ostatnie milenium, trzysta lat i trzy dekady

Zaszalałeś i stworzyłeś kurewskie układy.

Tu brałeś, tam dawałeś, tutaj kradłeś, tam sprzedawałeś.

Taki balans boskiej racji, małej trumny i kremacji.

Wszystko to, co kiedyś miałeś, już przegrałeś.

Tam, gdzie sam diabeł nawet baby nie pośle.

Tam, dokąd palona kukła wiosenna odpływa.

Pojedź tam kiedyś na zniewolonym ośle.

Pozwiedzaj martwe cuda, co spadły nam z nieba.

Zobaczymy się w piekle, mój drogi przyjacielu.

Widzimy się po drugiej stronie, gdzie czeka na nas wielu

Morderców, podłych kłamców, pozornie prostych ludzi.

Do zobaczenia w piekle, mój drogi przyjacielu.

Przytrzymam ci czarne drzwi, bo życie masz już z głowy.

Więc wybierz sobie widły, zakładaj już podkowy.

Człowieczeństwo

Polskie teksty liryczne, które po raz pierwszy
ukazały się w publikacji pt. „Człowieczeństwo”.

Piękno widzę i nadziwić się nie mogę.
Nie chcę oddać tej chwili, oddać jej nie mogę.
Wielkie piękno obdarzyło mnie względem,
Więc na to piękno patrzeć wiecznie będę.
Oczyma szeroko rozwartymi, suchymi, ach, jak suchymi.
Godzinami, dniami, latami długimi, ach, jak długimi.
Nie zamknę oczu, mych ust nie otworzę.
Nie westchnę, nie krzyknę, choćby cięły mnie noże.
Tak, jak ciebie niegdyś cięły.
Tak, jak matkę twoją cięły.
Nie zawołam wniebogłosy: Przybądź do mnie, o, rozkoszy!
Tak, jak kiedyś twoje włosy dostarczały mi rozkoszy,
Tak teraz to piękno przede mną faluje we dnie i w nocy.
Patrzę, widzę małe dziecko pozbawione mej pomocy.
Niegdyś tak je zostawiłem.
Dawne życie w gruz rozbiłem.
Przykleiłem piękny uśmiech do mych warg wyschniętych,
By nikt nie mógł z nich wyczytać przeżytych lat przeklętych.
Nie chciałem być ciężarem, nie chciałem być brzemieniem,
Lecz nic nie potrafiłem poza smutkiem i zwątpieniem.
Czas mijał, lata biegly, siwe włosy skroń oblekły.
Dawne rany zasklepiłem, wszystkie blizny zaś wyblakły.
Piękny uśmiech zostawiłem na mych wargach nawilżonych.
Me powieki w dół spuściłem na mych oczach doświadczonych.
Nadal widzę wielkie piękno pod ciężkimi powiekami.
Nieustannie śnię na jawie, godzinami i latami.
Chcę do przodu iść i pragnę zostać w tyle.
Chcę wykluć się na nowo, jak rodzą się motyle.
W koło chcę biec, gonić swój cień, gonić moje serce.
Wciąż pragnę śnić, marzeniami chcę wypełnić serce.
Przyklejony uśmiech mój nigdy nie był czymś fałszywym,
Lecz był znakiem tego, że pragnąłem żyć w szczęściu prawdziwym.
Tak, prawdziwym.

Ciało rozpalone gorączką namiętności,
 Co parzy serca młode i kruszy stare kości.
 Wieczorne wycie wilka dodaje twej wilgoci nutkę goryczy.
 Podnosisz się, opadasz znów, rozpływasz w jej słodyczy.
 Nie wiesz jeszcze, co cię spotka na końcu tej drogi.
 Czy rozkosz cię ubodzie z nagłą, czy diabła dwie ostrogi?
 Czy jeździć będziesz w cwale, czy ujeżdżanym będziesz?
 Boisz się, że to nagle stracisz i szczytu nie dosięgniesz.
 Księżyc wyszedł w pełni białej, jak dziewicze łono.
 Oczy jej zielone, dzikie, jak dwa węgle płoną.
 Zapomnij o tym, że kiedyś leżałeś zimny i spragniony
 I poznaj jakie to uczucie, gdy pieścą cię demony.
 Swawolna przyjemność cielesna tak nęci twą duszę,
 Że w zamian gotów jesteś cierpieć piekielne katusze.
 By posmakować ust lepkich od soków miłości,
 Gotów jesteś złamać serce bez chwili wątpliwości.
 Jest tak ciemno, w niej jest tak ciemno,
 Lecz wchodzisz w głąb nienadaremno.
 Ogień rozpala twój miecz niestrudzony
 W ciele latawicy, co zrodzi twe demony.
 By złożyć pocałunek na jej jędrnej piersi,
 Zabijesz pozostałych, by nie byli pierwsi.
 By poczuć w nozdrzach zapach jej loków złocistych,
 Zapomnisz o rodzinie, zapomnisz o swych bliskich.
 Księżyc w pełni białej oświecła smukłe ciało
 I zanim jej skosztujesz, już wołasz, że ci mało.
 Szare życie nieprzerwanie skąpi emocji ognistych.
 Zimne łóżo wciąż odmawia doznań płomienistych.
 Wystarczy, że rozsuniesz skostniałe zasłony
 I odrzucisz na bok wszystkie zabobony.
 Ujrzysz jej postać mknącą po niebie usianym gwiazdami.
 Zobaczysz orszak dziewcząt, co parają się orgiami.
 Wyciągnij tylko dłoń ku promieniom Księżyca,
 A weźmie cię w objęcia przepiękna latawica.

Wylewają się na twarz.
Ozdabiają płonące policzki.
Nie zmywa ich nawet deszcz.
Nie wchłaniają rękawiczki.
Perły, nie łzy, przystają do rzęs jak rosa.
W oczach twych bogactwo rodzi się.
Perły, nie łzy, wskazują mi, jak kochać.
W sercu mym miłość pochłania cię.

Zła zima zatapia świat.
Biel oślepia nam oczy.
Biegniemy w puszysty śnieg.
Czujemy, jak życie się toczy.
Perły, nie łzy, ozdabiają sznur warkoczy.
W sercu mym szczęście rodzi się.
Perły, nie łzy, pragną mnie zauroczyć.
W oczach twych ocean burzy się.

Przebiśniew rozlewa swój blask.
Na niebie ptaki jak klucze.
Wiosenny ogarnia nas brzask.
Pytasz, czy jeszcze tu wrócę.
Perły, nie łzy, przystają do rzęs jak rosa.
W oczach twych uśmiech pojawia się.
Perły, nie łzy, wskazują mi, jak kochać.
W sercu mym miłość utula cię.

W sadach owoców moc.
Słońce obdarza nas złotem.
Patrzymy w gwiazdy co noc.
Nie myślimy, co będzie potem.
Perły, nie łzy, ozdabiają sznur warkoczy.
W sercu mym uspokojaś mnie.
Perły, nie łzy, pragną mnie zauroczyć.
W oczach twych miłość pochłania mnie.

Wiele minęło lat i letnich wschodów słońca.
Z porażek tkałeś swój świat aż do samego końca.
Karą niech będzie śmierć, gdy zbrodnią było życie.
To, czego nie chciałeś dać, brałeś wciąż w zachwycie.
Tak płynęły gorzkie dni i noce niespokojne.
Do pracy wychodziłeś, jakbyś szedł na wojnę.
Kolorów nie chciałeś widzieć tam, gdzie było ich pełno.
Na siłę chciałeś je widzieć tam, gdzie zawsze było ciemno.
Każdej sobotniej nocy kierunki świata kręciły się wokół twych stóp.
Każdej niedzieli oczy wbite w sufit a twarz biała niczym trup.
Nieruchomymi otwartymi oczami niczego nie dostrzegałeś.
Ludzie myśleli, że byłeś martwy, a ty po prostu spałeś.
Wybitne marzenia zmieniały się w głębokie doły.
Gołębie wolności zaś wyrosły na zniewolone woły.
Nie w smak ci to było, więc wódka w smak ci weszła.
Spirytus stał się twą kochanką, a żona już odeszła.
Za oknem cisza jak na wygnaniu, w środku jak zwykle gwarno.
Niczym beton zdaje się być łożo, gdy lądujesz na nim twardo.
Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz.
Gdy coś nabroisz, znowu się wykpisz.
Przyjaciół nie da się zatrzymać słowem, jak chuj, szmata czy suka.
W brudzie i nędzy, zimnie i głodzie, swój swojego ze świecą szuka.
Nie znajdziesz zgubionych dni młodości na dnie brudnego kieliszka.
Wszystkie spaliłeś w imię zazdrości niczym kulawa lizka.
W norze wykopanej we wzgórzu goryczy przepijasz długie godziny.
W amoku wódki, machając rękami, świętujesz swoje urodziny.
Nie zamierzałeś zaprosić na nie znamienitych gości.
I tak nikt by nie przyszedł, bo nie ma w tobie miłości.
Możesz liczyć tylko na to, że na twym grobie zatańczą.
Po tym, gdy twoje wszystkie grzechy w końcu cię wykończą.
Więc pij, człowieku, pij na umór, wypij wszystko do końca.
Kiedys nad twą mogiłą zatańczy również krągła postać miesiąca.

Kuuuuura, kuuuuura.

Kura, kura.

Kaaaaaczka, kaaaaaczka.

Kaczka, kaczka.

Baaaaaran, baaaaaran.

Baran, baran.

Taaaaaczka, taaaaaczka.

Taczka, taczka.

Koooooza, koooooza.

Koza, koza.

Praaaaaczka, praaaaaczka.

Praczka, praczka.

Kooooonie, kooooonie.

Konie, konie.

Graaaaabie, graaaaabie.

Grabie, grabie.

Ooooogień, ooooogień.

Ogień, ogień.

Praaaaanie, praaaanie.

Pranie, pranie.

Oooooowca, oooooowca.

Owca, owca.

Saaaaanie, saaaaaanie.

Sanie, sanie.

Siaaaaano, siaaaaano.

Siano, siano.

Słoooooma, słoooooma.

Słoma, słoma.

Z czego się cieszysz, głupia mordo?

Do kogo szczerzysz zęby?

Zamknij jadaczkę i nos na kwintę!

Zero uśmiechu z twojej gęby!

Wydaje ci się, że coś osiągnąłeś?

Że to ma jakąś wartość?

Takie błahostki nic tu nie znaczą.

Daruj sobie tę hardość.

No i co z tego, że ktoś zauważył?

Co z tego, że słuchał?

To za mało, by być szczęśliwym.

No, chyba, że cię wyruchał.

Tak szybko jesteś zadowolony?

Tak lekko jest ci na duszy?

Twoje życie gównem jest warte!

W gnoju toniesz po uszy!

To taki stan rzeczy tobie wystarcza?

To tobie uśmiech zapewnia?

Przecież masz w domu burdel na kółkach!

A twoja chata to chlewnia!

Pragniesz chodzić rozmarzona?

Bujać wciąż chcesz w obłokach?

Do nieba dzisiaj nie polecisz,

Bo tłusta jesteś jak foka.

Mówisz, że dobrze się dzisiaj czujesz?

Że dumna jesteś ze swoich wdzięków?

Salceson podnieś i idź do roboty!

I nie chcę słyszeć twych jęków!

Więc dobrze dzisiaj wszystko zrobiłaś?

Na wielką nagrodę czekasz?

Tak po prawdzie, to wszystko spałaś.

Uważaj, bo się doczekasz!

Kochasz całym sobą, na jawie i we śnie.
Słowem błągasz bogów, by odebrali ci twój cień.
Tak, jak młody narcyz rozpoczyna dramat.
Tak umarłego dusza zbiera wszystkie brawa.

Obumarła trawa, kiedy spłonął sad.
Odnajdę ciebie tam, gdzie Księżyc spadł.
W słomiane włosy wplotę cudny bez.
Zostanę z tobą aż po życia kres.

Pocałunki listów wysłanych wstecz.
Wizerunek tak nieczysty odrzucę precz.
W złotej tarczy Słońca płonie cały świat.
Ofiarowuję ci mą miłość na tysiące lat.

Kochaj mnie jak ogień, kochaj mnie jak deszcz.
Podaruj ustom moim namiętności dreszcz.
Ponad wszystko unieś nas i pokaż mi cud.
Boża krówka przyniesie nam szczęścia łut.

Czarne oczy z węgla, uśmiech z koralu.
Śnieżny człowiek całą zimę z piekła drwi.
Wewnątrz ciepła domu czuć świerkowy las.
Przełam się opłatkiem ten ostatni raz.

Rozgrzewasz moje serce rumianym obliczem.
Skradzionych dla mnie gwiazd nigdy nie przeliczę.
Od świtu aż po świt zachowaj nas w pamięci.
Kochankowie złotych lat w bursztynie zakłęci.

Ten rodzaj długu upaja oczy głodnych.
Te monety błyszczące wchodzą im pod skórę.
Urodzaj naiwnych marzeń.
To puszcza dzikich urojeń.
Domek z kart zbudowany na czyjejs niewiedzy.
Postawiłeś go, jak zamek z piasku.
Czy łudzisz się, że nie strawi go nawet płomień miesięcznego brzasku?
Haki zakotwiczone w ustach wiernych dostarczają tony bogactwa.
Strumień świętości splamiła zbrodnia.
Rodzą się nowe dziwactwa.
Tak wykrwawiają ziemię i niebo rozpruwają.
Ostrzami języków i kłamstw.
Bezprawiem prawomocnym.
Wiatr już nie wieje, jak dawniej, lecz wyje do Księżyca.
Cuda i cnoty umarły.
Nikt nie wie, co to dziewica.
Kara stała się normą.
Norma przestała się liczyć.
Krew zastąpiono szambem, a szambo stało się winem.
Nikt nie wie, co trzeba zrobić z tak starym gobelinem.
Strugami łajno spływa z dachów.
Kiedyś zwano je deszczem.
Mądrość odeszła w niebyt postępu.
Kurwa stała się wieszczem.
Stany próżni umysłowej wyznaczają nowe trendy.
Echo uderza o potylicę, próbując uciec w te pędy.
Kiermasz przemytu co niedziela gwizdże sobie z wesoła.
Tymczasem pod naszym oknem orszak śmierci tańczy do koła.
Biada nam, biada, nam biada, biada nam.
Zgarną nas w tan.
Zgarną nas w tan.

Tylko chwilę.

Tylko chwilę.

Nim poczujesz nowy ból.

Nim zapłaczesz po samotnej nocy.

Odgoń świtu chłód.

Nie myśl, bo niczego nie odroczysz.

Więc kochaj go, by znów odszedł w świat po jednej nocy.

Tylko chwilę.

Tylko chwilę.

Kochaj mnie, zanim odejdziesz tam, skąd nie wracają sny.

Tylko chwilę.

Tylko chwilę.

Nim zabierzesz ze sobą słodkie słowa, pocałuj mnie choć raz.

Jedną chwilę.

Twej dłoni palce spletną się z palcami mojej dłoni.

Niech twój oddech pieści pierś.

Namiętność chłód przegoni.

Gorące usta zatop w drzeniu rozpalonych warg.

Niech wypełni mnie twa pieśń.

Namiętność chłód przegoni.

Tylko chwilę.

Tylko chwilę.

Kochaj mnie, zanim odejdziesz tam, skąd nie wracają sny.

Tylko chwilę.

Tylko chwilę.

Nim zabierzesz ze sobą słodkie słowa, pocałuj mnie choć raz.

Jedną chwilę.

Zaszlachtowali cię jak świnię na rzeź.
Bez znieczulenia, obuchem w łeb.
Gwałtem odebrali ci imię człowiecze.
Zabrali ci sól, wodę i chleb.
Koronę polnych kwiatów obrócili wniwecz.
Kwasem skalali twe łono dziewicze.
Do bliźnich wołali, by śmierć ich porwała.
Tych ściętych głów już nie policzę.
Piękno ziemi i nieba ukryli w oparach toksyn.
Ogarnęły nas ściany izolacji.
Czaszki po trepanacji jak wydmuszki na Wielkanoc.
Świetlane umysły poszły do kasacji.
Słońce już na nas nie błyska z miłością stworzenia.
Cuda sprzedano na targu rozpusty.
Księżyc odwrócił od nas zniesmaczoną twarz.
Słój pełen plag jest teraz pusty.
Dziecka już mama nie utuli, bo dano jej ciało kaleki.
Nie odda jej dłoni socjalny zasiłek.
Niemowlę bez serca nie sięgnie krzykiem po życie.
Na nic się zda porodu wysiłek.
Zamurowali cię żywcem, jak niechcianą nałożnicę.
Bez ostrzeżenia, ostrzem w pierś.
Brzytwą oskórowali twą twarz człowieczą.
Zabrali ci życie i wręczyli śmierć.
Walczyć nie ma o co, odkąd ziemia wchłonęła nasz dom.
Popełnionych tam grzechów nie wyliczę.
Modlić się nie ma do kogo, gdyż bogowie zeszli na psy.
Przecież stworzyli nas na swoje oblicze.
Niebyt czuje się zawstydzony naszym pustostanem.
Wykastrowali nawet papieży.
Wiara, nadzieja i miłość wyparły się naszej wiary.
Judaszom nikt już nie wierzy.

Nic nie wiem

22 III 2021

Pomaluj płomieniem szkarłatu horyzont i przypomnij mi nocne łuny gorejące.
Daj znak, że poza tym światem zmniejszonym są również inne światy żyjące.
Pożogą wypal trawy z pól naszych i zabij setki istot, co walczą do samego końca.
Przynieś mi zapach popiołów letnich, a z nim garść muszelek białych od słońca.
Czasami udajesz, że życie masz za nic, lecz to tylko twoje życzenia pobożne.
Ja staram się trzymać oczy wciąż otwarte, by zawsze widzieć realia bezbożne.
I dziękuję ziemi za cud mego wzroku, że spojrzeć mogę w górę na Księżyc tak dawny.
Cieszy mnie magia mojego dotyku, która pozwala mi sięgnąć po najświętsze prawdy.
Nie dla mnie końskie klapki na oczy, nie dla mnie wąskie spektrum wiary.
Nie chcę mieć głowy wypchanej sianem, nie dla mnie są te pogańskie czary.
Wiem, że bezpiecznie jest żyć w ciemności, gdzie światło nigdy nie zagłąda w oczy.
Znam ten trans rozkosznych stanów, co w sen wciągają, gdy życie leniwie się toczy.
Nie wiem, w jakim celu dokładnie to pierwotne morze dało nam początek drogi.
Za to wiem, że mam zamiar iść przed siebie dopóty, dopóki niosą mnie nogi.

Lament śmiertelnika

23 III 2021

Pomóż mi, pomóż uzyskać wieczność, bo łaknę jej strachem przed śmiercią.
Wiem, że nie tędy droga do szczęścia, lecz nie wiem, jak oddychać pierśią.
Mając świadomość tego, jak kończy się nasz byt w tym padole, dopomóż.
Gdzie mam odnaleźć litość i spokój? Powiedz, czy leżą w głębinach mórz?
Czy szukać ich mam na szczytach pod niebem, czy w gwiazdach nieznanych?
Chyba nie powiesz mi, że znajdę je dopiero w mych zwłokach pochowanych...

Pytasz i pytasz, choć nie szukasz odpowiedzi.
Ręce wyciągasz po gotowe rozwiązania.
Krzyczysz i krzyczysz, choć milczysz na spowiedzi.
Wzrok odwracasz od wiedzy, daru poznania.
Płaczesz i płaczesz, udając, że potrzebujesz pomocy.
Łzami próbujesz wyssać czyjeś szczęście.
Kwilisz i kwilisz, udając, że nie ma w tobie mocy.
Ach, jakże sztuczne jest twoje nieszczęście.

Szepczesz i szepczesz, a ponoć nic nie mówisz.
Złorzeczysz każdemu za plecami.
Chłęczesz i chłęczesz, a ponoć pić nie lubisz.
Robaka zalewasz ognistymi trunkami.
Kłapiesz i kłapiesz, choć nie chcesz słuchać.
Wypierasz ich słowa ze świadomości.
Chuchasz i chuchasz, choć nie chcesz dmuchać.
Nie przyjmujesz tej ironii do wiadomości.

Plujesz i plujesz, twierdząc, że suche masz usta.
Twarze sąsiadów wypalasz kwasem.
Trujesz i trujesz, twierdząc, że dobre masz gusta.
Manipulujesz czyimś czasem.
Zerkasz i zerkasz, choć nie chcesz zobaczyć.
Zazdrość wylewa się z lusterka.
Stękasz i stękasz, choć nie chcesz wybaczyć.
Ach, jakże sztuczna jest twoja rozterka.

W poniedziałek mówisz: Znowu to samo!
We wtorek wołasz: Zabierzcie mnie stąd!
W środę biadolisz: Cóżem zawinił?
W czwartek powtarzasz: Czy to był mój błąd?
W piątek zapewniasz: To nie byłem ja!
W sobotę spluwasz: Szlag by was trafił!
W niedzielę pytasz: Dlaczego ja?

O, przepiękna mimozo!
Czy jeszcze nas pamiętasz?

Te żółte bukiety kwiecia.
Gdy staliśmy przed nimi.
Przed wodospadem kwiatów.
Ty uśmiechnąłeś się do nich.
Jak do mnie w noc letnią.
Gdy ogniska blask nas zdołał.
Płomieniem młodości.
Wtedy nie było we mnie zawiści.
Widzieliśmy tylko nas dwoje.
Byłeś dla mnie tak bliski.
Zginęliśmy oboje.
Tego dnia przed mimozą.
Gdy uśmiechnąłeś się do niej.
To był znak miłości.
Nie dla mnie.
Dla niej.
Nie byłeś wtedy mój.
Przez chwilę byłeś inny.
Mnie ogarnął żal.
Żal do kwiatów mimozy.
Że odebrały mi ciebie.
Pięknem tak ulotnym.
Pięknem mi nieznanym.
Nigdy mi niedanym.

O, kwiaty mimozy!
Czy jeszcze was zobaczę?
Bez żalu i zazdrości.
Czy jeszcze nas zobaczę?
Młodych i radosnych.
Przed żółtym bukietem.
Co spływa kaskadą.

O, przepiękna mimozo!
Czy jeszcze nas pamiętasz?

Cienie płochliwe odebrały spokój ducha.
Wieczorne modlitwy wstrzymują oddech.
Nastawiasz zegary, licząc na kolejny dzień.
Dawne życie śni swój dziwny sen.
Piękne pola kończą się pod lasem.
Cicha jesień kontempluje śmierć.
Tylko nad ziemią pasą się chmury.
Po takie czasy już nie sięgaj wstecz.
Usiądź na chwilę, wysłucham twego szeptu.
Pomocy nie otrzymasz, lecz skończysz ten dzień.
Traktem z północy przyjdą nowe śniegi.
Odleć jaskółko ku ciepłu innych krain.
Dzisiejsze słońce niedługo zajdzie.
Jeśli przegrałeś, załopocz chorągiewką.
Nie wylewaj kwasu na zagojone rany.
Nigdy nie można zacząć się od nowa.
Wraz z twoim odejściem nastaną inne dni.
Ogień płochliwe tańczą nad płynnym woskiem.
Dusze zmarłych dzieci mają dosyć pokuty za nic.
Czy wiesz, gdzie kończy się nasz kraj, a zaczyna ich?
Granice są tam, gdzie nie powinno być granic.
Osiodłane konie wciąż należą do matki natury.
Martwa ziemia należy do siebie samej.
Nie brodź w tych kałużach czasu.
Obrazy nadal wisieć będą tam, gdzie miały wisieć.
Blakną wspomnienia na kartach historii.
Co zaszło pomiędzy Księżycem a Słońcem, nikt już nie pamięta.
Tak, jak ty nie pamiętasz swoich narodzin.
Nie pamiętasz najpiękniejszych snów.
Ziemia zawsze będzie ziemią.
Księżyc nigdy nie był sam.
Słońce kiedyś zgaśnie i zabierze świat ze sobą.
Zaakceptuj tę wiedzę.
Odetchnij chociaż raz.

Widzę oczami duszy niemrawej.
Słyszę uszami rasy mieszanej.
Czuję nerwami chciwości, zagłady.
Mówię strunami śmiałości, zabawy.
Nie obchodzi mnie, co widzisz tam.
Za ścianą rozpaczy, żałoby.
Nie obchodzi mnie, że jesteś sam.
Za ścianą rozpaczy, żałoby.
Być może nie każdy człowiek zasługuje na ból.
Ty możesz rozpaść te zorze, nie czekaj na cud.
Telekineza dobrze służy tym, co myślą nie grzeszą.
Tania proteza zastąpi uszy, wyciszy biały szum.
Niewielkie znaczenie ma to, co światu dajesz.
On jest jak studnia bez dna, jak tunel bez światła.
Niewielkie wrażenie sprawia to, w co wierzysz.
On jest jak studnia bez wody, jak gwiazda bez światła.
Na granicy istnienia śmierć rozdaje karty.
Białe, czarne, czarne, białe i białe.
Na granicy sumienia diabeł trzyma wartość.
Biały, czarny, czarny, biały i biały.
Telekineza dobrze służy tym, co oczom nie wierzą.
Tania proteza zastąpi wzrok, usunie płonące zorze.
Telekineza dobrze służy tym, co wiecznie się spieszą.
Tania proteza zastąpi czucie, odetnie słodycz i ból.
Telekineza dobrze służy tym, co słowami ust nie szpecą.
Tania proteza zastąpi głos, odbierze wolności śpiew.
Telekineza.
Telekineza.
Telekineza.
Telekineza.
Telekineza.
Telekineza.
Telekineza.

Nie pamiętam już kwiatów dzikiej jabłoni.
Pamiętam za to cierpki smak jej owoców.
Niektóre ze wspomnień znikają na zawsze.
Inne zostają w nas do końca naszych dni.
Czas wpleciony w przeszłość tworzy kalejdoskop.
Wizje marzeń widziane w przyszłości dodają sił.
Usuwać elementy przeze mnie niechciane.
Na nowo wykuwać złamane osiągnięcia.
Poniosą mnie za horyzont moich ograniczeń.
Rydwaniem zielonej, organicznej kreatywności.
Pozostanie po mnie ślad intelektualnych wartości.
Takie pragnienie potrafi wykiełkować w człowieku.
Bezkresne morze fantastycznych krain.
Nieskończony wszechświat wirujących kolorów.
Tego moje serce łaknie, a oczy pożądają.
Bywają chwile, kiedy nie mają sensu ani wdech, ani wydech.
Przychodzą dni pozbawione nadziei i celu.
Wszystkie z nich w końcu przemijają.
Ustąpią miejsca owocom uczciwej pracy.
Stworzą na głowie koronę ze złotych plonów.

Niecierpliwość unosi moją pierś.
Drgające nerwy trzymam na wodzy.
Grzbiet prezentuje zjeżoną sierść.
Napięte nerwy trzymam na wodzy.

Już nie mam siły słuchać twych wydumanych argumentów.
Ile jeszcze mam ci powtarzać, że nie będę jeść ci z ręki?
Zimnej krwi brakuje na naprawianie twoich błędów.
Czy nie rozumiesz, że dla twej uciechy nie zaakceptuję męki?

Po miłość wyciągnąłem czułe dłonie.
Trafiłem na serce oblepione gnojem.
Choć czekam, to serce nigdy nie zapłonie.
Nie ma się co dziwić, jest oblepione gnojem.

Jak długo mam brać udział w tej żalosnej licytacji?
Nie pamiętam, bym kiedykolwiek oferował usługi wszelkiej maści.
Przestań mi mówić, co mam czuć, nie odmawiaj racji.
Przez tysiąc lat nie zapełnimy dzielącej nas przepaści.

Jakim byłbym człowiekiem, gdybym żądał od ciebie obdarowania mnie szczęściem w zamian za twoje cierpienie? Jakim byłbym człowiekiem, gdybym wymagał, by twoje ciało jak narzędzie dawało mi orgazm, w zamian za twoje upokorzenie? Jak można nazwać miłością relację, której podstawą jest wiara w poświęcenie i ból? Jakim byłbym człowiekiem, gdybym mówił ukochanej osobie, że miłość to męka, krew i znój? Jak można nazwać miłością relację, której glebą nie jest miłość, lecz podjęta decyzja, zawarta umowa i wypełniony obowiązek? Jakim byłbym człowiekiem, gdybym zamiast miłości wręczył ci umowę o dzieło na czas nieokreślony, twierdząc, że to związek?

Śmieci pośród róż.
Serce oblepione gnojem.
Śmieci pośród róż.
Miłość utyłana gnojem.

Smuci mnie wizja przyszłości.
Kapią łzy na moje kości.
Pochowane, w trumnie ubrane.
Smucą mnie obrazy z przeszłości.
Dręczą sny o samotności.
Kapią łzy na moje dłonie.
Kapią łzy.
Kap.
Kap.
Kap.

Smuci mnie uczucie miłości.
Krwawi serce w szwach.
Pochowane, w trumnie ubrane.
Smucą mnie braki czułości.
Dręczą sny o samotności.
Krwawi serce w szwach.
Kapie krwią.
Kap.
Kap.
Kap.

Smuci mnie mania wielkości.
Mózg wyżyja się sam.
Pochowany, w trumnie ubrany.
Smucą mnie żądze wielkości.
Dręczą sny o samotności.
Mózg wyżyja się sam.
Kapie z niego.
Kap.
Kap.
Kap.

Chodzi mi po głowie.
Zgon, zgon, zgon.
Nie chcę go przy sobie.
Won, won, won.
Chodzi mi po głowie.
On, on, on.
Boga nie mam w sobie.
Zgon, zgon, zgon.

Karma, karma.
Daj mi, daj mi jeść.
Karma, karma.
Daj mi, daj mi jeść.

Kręci mi się w myślach.
Song, song, song.
Alkoholik przysiadł.
Won, won, won.
Kręci mi się w myślach.
On, on, on.
To zaśpiewam sobie.
Song, song, song.

Karma, karma.
Daj mi, daj mi jeść.
Karma, karma.
Daj mi, daj mi jeść.

Spokój mi daj, durna obietnico.
Spokój mi daj, urodziwe lico.
Spokój mi daj, pomyślunku grzeszny.
Spokój mi daj, nie oddawaj reszty.
Spokój mi daj, boga w sobie nie mam.
Spokój mi daj, a dalej tak zaśpiewam.

Karma, karma, daj mi jeść.
Karma, karma, daj mi jeść.
Karma, karma, daj mi jeść.
Karma, karma, daj mi jeść.

Czy on wie, że ja wiem, że ty wiesz, że on nic nie wie?

Czy ty wiesz, czy on wie, że ja mówię do ciebie?

Czy on zna się na rzeczach, na których ty się nie znasz?

Czy ty wiesz, że on wie, że o pozory nie dbasz?

Czy my wiemy, o czym oni wiedzą, kiedy się budzą?

Czy wiedzą, że nie wiemy, że na próżno się trudzą?

Czy ona wie, że ja i ty nie wiemy nic o sobie?

Czy ty wiesz, że on wie, że ja kocham się w tobie?

Czy my nadal nic nie wiemy o tym co oni tam czynią?

Czy oni wiedzą, że myślimy, że oni nas winią?

Czy ty myślisz o tym, o czym myślę ja, gdy nic nie myślę?

Czy oni wyślą to, co wyślą, jeśli im coś przyśle?

Czy ona nadal nie wie, że on wie, że ona płonie?

Czy ona nadal nie chce, żeby on chciał podejść do niej?

Czy oni myślą, że sądzimy, że oni się gapią?

Czy my sądzimy, że myślimy, że nas dzisiaj przyłapią?

Czy on wie, że ja wiem, że nie chcę go zobaczyć?

Czy ty wiesz, że ja wiem, że nie chcesz mu wybaczyć?

Czy ona nie wie, że on nie wie, czego my nie wiemy?

Czy on wie, że ona wie, że znowu spróbujemy?

Czy ty wiesz, czy one pragną, czego dusza pragnie?

Czy ty wiesz, czy oni łakną, czego ciało łaknie?

Czy ono wie, że nie jest mną, ani nim, ani tobą?

Czy ty wiesz, że on wie, że trzymasz nóż za sobą?

Czy te wersy wiedzą, czy nie wiedzą to, co mają wiedzieć?

Czy ja wiem, że ty wiesz, że już nie chcę tutaj siedzieć?

Ciężar czuję w głowie.
Odczuwam go też w piersi.
Zmęczone mam nogi ganiem za życiem.
Ten akt jest tak ciężki.
Ach, jak ciężki.

Wielkie idee porwały mnie z sobą.
Giganty wyrosły na polach uprawnych.
Wielkie nadzieje porwały mnie srogo.
Kolosa usiadły na mych barkach.
Tam też umarli.

Nim jeden zacznę bieg, już drugi chce być skończony.
Zanim wezmę wdech, wydech chce być spłacony.
Przed wybudzeniem ze snu kolejny sen na mnie spływa.
Zanim pierwszy postawię krok, ostatni krok już się zrywa.

Ciężko iść przed siebie, gdy głowa opada na ramiona, a ramiona na ziemię.
Ciężko milczeć w potrzebie, gdy wszystko chcę zrobić sam dla siebie.
Ciężko wymagać posłuszeństwa od stóp, co płaczą się nieustannie.
Ciężko polegać na sobie samym, wiedząc, że ktoś zrobi wszystko za mnie.

Ciężar czuję w głowie.
Jak obręcz uciska mi myśli.
Odczuwam go też w piersi.
Jak obręcz uciska mi serce.
Zmęczone mam nogi ganiem za życiem.
Strudzone plecy dźwiganiem sumienia.
Ten akt jest tak ciężki.
Doprawdy.
Ach, jak ciężki.

Czaszka pęka mi w kostnych szwach.

Rozłupana na pół.

Wykluwa się nowy świat.

Nigdy go nie przyswoję.

Niby jak? Niby jak?

Brak w nim serca i róż.

Jest w nim tylko tępy nóż.

Kochać. Jakie to łatwe, gdy nie trzeba tego robić.

Zostać. Jakie to łatwe, gdy nie ma dokąd pójść.

Pracuję, pracuję, pracuję.
To umiem, to umiem, tamto umiem.
Idę, idę, idę, tam wchodzę.
To podnoszę, to przerzucam.
To stoję, to chodzę.
Tyle wiem, tyle wiem, to też już wiem.
Tyle umiem, a tyle nie umiem.
Myślę, że potrafię, wcale nie potrafię.
Ale to umiem, tu chodzę, tu stoję.
Tu pracuję, tam pracuję.
Coś umiem, a tego nie umiem.
Chcę coś zrobić, to idę i robię.
Nie chcę nic robić, a i tak robię.
To idę, to stoję, to idę, to stoję.
Pracuję, pracuję, pracuję.
Tego wciąż nie umiem, ale to już umiem.
Myślę sobie, czy to tutaj mam być?
Czy tutaj mam stać?
Czy tutaj mam żyć?
Idę dalej, tu posprzątam, tam zamiętam.
Tu wyklepię, tam wygładzę.
Chodzę, chodzę, chodzę.
Myślę sobie, czy to tutaj mam być?
Czy tutaj mam stać?
Czy tutaj mam żyć?
Pracuję, pracuję, pracuję.
Idę, idę.
Stoję, stoję.
Coś mnie woła w inne miejsca.
Coś mnie ciągnie, nie wiem skąd.
Idę, idę.
Stoję, stoję.
Tu pracuję, tam pracuję.
To idę, to stoję, to idę, to stoję.
W którą stronę mnie tak ciągnie.
W którą stronę mam dziś pójść?
Idę, idę.
Stoję, stoję.
Robię, robię.
Nic nie robię.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

Biegnę.

!

Nie zdążyłem.

To z czarnej odbytnicy wyleciało wszelkie zło na ten świat człowieczy.
Z kutasa czarnej leje się na nas kwaśny deszcz i grad jak jaja kurze.
To z jego latawicy zrodziła się kurwa, wszeteczna, choroba zakaźna.
Z piekielnych dupek jego dzieci gazy zasnuły nasze niebo niegdyś czyste.
Włosy łonowe Szatan wytrzepał na nasze głowy, plagą wszawicy nas błogosławiąc.
Rozpalonym sutkiem grzesznym w oczach niewinnych rozpałił kurwiki.
Z żądz analnej wszyscy daliśmy dupy, bez nawilżenia, bez poślizgu.
Jak na zbawienie pały nam stały, dla zdrowia i wielkich zysków.
Diable rogi gromem raziły wszelkie bydło, nas w to wliczając.
Dłonią płonąca od masturbacji sam Lucyfer strzelił nam w pysk.
Raz, drugi i trzeci, po czwartym wszyscy się zesrali.
Cycki nam zwiędły a ręce opadły na widok czarnej dupy.
Zrozumieliśmy, że nastał czas końca, gdy zawyły piekielne pizdy.
Rogate, zębate, wiecznie wkurwione na brak wazeliny.
Nakurwiały przez pola uprawne, siejąc na nich znój i niewolę.
Uciekaliśmy, gdzie nogi poniosły, a zanosły nas w kotły piekielne.
Tam nas upiekli i tam też zdechliśmy.

Dobijam się do drzwi.
Odbijam się od ścian moich ograniczeń.
Labirynt młodości rośnie w oczach.
Dobijam się do kolejnych drzwi.
Otwórz mi.

Odbijam się.
Odbijam się od kolejnych drzwi.
Głową uderzam wciąż w mur.
Mur ograniczeń.

Po omacku idę sam.
Macham dłońmi na lewo i prawo.
Nie wiem, jak dotrzeć mam.
Jak dotrzeć do serca, co bije tam.
Gdzieś tam.

Którędy?
Którędy biec mam w te pędy?
O której godzinie ma młodość upłyne?

Dobijam się do drzwi.
Odbijam się od ścian moich ograniczeń.
Połamałem ręce na murach wolności.
Dobijam się do drzwi.
Odbijam się od ścian moich ograniczeń.
Rozbiłem głowę o mur.

Którędy?
Którędy biec mam w te pędy?
O której godzinie ma młodość upłyne?

Już nie mogę się doczekać.

Nie wiem co ze sobą zrobić mam w ten dzień powszedni.
Choć znam drogę do domu, nie chcę przekroczyć progu.
Daleka droga od narodzin do grobu dla poszukujących wieczności.
Odległe marzenia o Ziemi na Niebie dla krótkowzrocznej istoty, jaką jestem.
Gdyby poniosły mnie nogi do raju, wiem, że nie zostałbym w nim na długo.
Nie kusi mnie wizja życia w złotej klatce.
Nie cieszy mnie widok boskiego oblicza.
Tam, gdzie spadają z gwiazd nasiona jabłoni o srebrnych liściach.
Morze zaś szumi do snu z wnętrza perlistej muszli.
Tam pragnę dotrzeć i tam chciałbym zostać.
Dopóki głód wiedzy i chciwość miłości nie pognają mnie dalej, dalej i dalej.
Hen za horyzont, poza ten świat.

Echo Królowej Gwiazd

5 – 6 VIII 2021

Na złotej nici pajęczej magii tańczy boso Królowa Gwiazd.
Wstęgą Aurory, płonących świateł okrasza cichy, bukowy las.
Modre oczka błyszczą w koronach, ptaki czekają cierpliwie na jej znak.
Wnet do tańca ruszyły, gdy przemknęła nad nimi, trzepocząc skrzydłami w jej takt.
— Sierpie Księżycu! — zawoła Królowa Gwiazd. — Ty, co Słońce przesłaniasz i wody przyzywasz!
Czy podoba się tobie nasz tan?
— Głębino jeziora! — zawoła Księżyc. — Ty, co życia młodych kochanków pozbawiasz! Czy podoba
się tobie nasz tan?
— Góro złowieszczą! — zawoła toń jeziora. — Ty, co niegdyś morza dnem, plażą, nizina
i wzgórzem byłeś! Czy podoba się tobie nasz tan?
— Lesie bukowy! — zawoła góra. — Ty, co domem stoisz dla stworzeń, co żyją krótko, lecz szcze-
rze! Czy podoba się tobie nasz tan?
— Królowo Gwiazd! — zawoła las. — Ty, co płasem po nici złotej obdarowujesz niebo deszczem
spadających gwiazd! Czy podoba się tobie nasz tan?
— Sierpie Księżycu, głębino jeziora, góro złowieszczą, lesie bukowy, podoba mi się wasz tan! —
odpowie Królowa Gwiazd.
Z uśmiechem na ustach i wiatrem we włosach przemyka po promieniach złotego Słońca.
Malując za sobą drogę mleczną złożoną z niezliczonych świateł, tańczy bez końca.

Przed ostatnim zakretem w drodze do raju, spójrz za siebie w otchłań przeszłych chwil.
Przed ostatnim promem z chmur na niebie, otrzyj z policzków błękitne ślady łez.
Po drugiej stronie odbicia w lustrze spotkałeś kiedyś martwe oblicze.
Na ciemnej stronie białego Księżyca zapaliłeś samotny znicz.
Gwiazdy wokół twej aureoli nigdy nie zaznały spokoju duszy.
Słońce dające cień twojemu ciału nie pozwoliło ci śnić.
Podziękuj życiu za to, jak wiele od niego dostałeś.
Przeproś śmierć za to, jak wiele jej odebrałeś.
Czy pamiętasz jeszcze dźwięk mojego głosu?
Czy przypominisz sobie znaczenie moich słów?
Wiem, że wciąż czujesz dotyk mych dłoni.
Tak, jak ja czuję smak twoich ust.

Do nieba

15 VIII 2021

Potrzebuję chleba.
Chleba mi dajcie, bo lecę wprost do nieba.
Do nieba bez kromki chleba.

Soli mi nie trzeba.
Potrzeby zegnajcie, bo lecę wprost do nieba.
Do nieba, gdzie nic już nie potrzeba.

W locie mijam drzewa.
Drzewa kwitnące, co rosną wprost do nieba.
Do nieba, w którym rosną białe drzewa.

Szybuję niczym mewa.
Mewa błyszcząca, co nad morzem śpiewa.
Śpiewa o tym, że leci wprost do nieba.

Do nieba.

Mgła

Polskie teksty liryczne, które po raz pierwszy
ukazały się w publikacji pt. „Mgła”.

Wstęp

3 IV 2022

Dokąd zmierzasz w pogardzie mając życie drugiego człowieka?

Dlaczego spluwasz na jego serce, gdy trzyma je na dłoni?

Żyjąc bez szacunku do życia droga do grobu nie tak daleka.

Oddaj się światłu, lecz zapamiętaj, że cienia nigdy nie przegonisz.

Nie masz już prawa oddychać bez filtra.

Mówić na głos już nie wypada.

Przed wszystkim tego, co myślisz.

Tego co czujesz nie wypowiadaj.

Uśmiechnij się pięknie.

Powtarzaj za mną.

Propaganda.

Propaganda.

Nie wychodź z szeregu.

Uśmiech perlisty.

Propaganda.

Propaganda.

Być tylko sobą już nie wypada.

Wolności słowa nigdy nie było.

Nie krzyw się tak.

Powtarzaj słodko.

Propaganda.

Propaganda.

Nie ma już ciebie.

Nie ma już mnie.

Odebrano nam zapach.

Zabrano nam sen.

Wręczono nam uśmiech.

Dano nam tekst.

Propaganda.

Propaganda.

Nie ma już ciebie.

Nikt nie pamięta.

O mnie.

O tobie.

O słowach.

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

Propaganda.

Propaganda.

Gdzie jest ta igła ze złota białego, co wskaże mi drogę do siebie?
Kogo mam słuchać, komu zaufać by dostrzec w nim cząstkę siebie?
Niewygodne miejsce do kwitnienia.
Nie odpowiada mi wilgoć łez.
Komu zaufać w lustrze kłamstw?
Czy tylko sobie ufać mam?

Byle być sobą.
Bądź tylko sobą.
Jak mam być sobą?
Byle być sobą, byle nie byle jak.

Wszyscy powtarzają, jak wytartą mantrę.
Byle być sobą.
Bądź tylko sobą.
Żyj w zgodzie ze sobą.

Jak tu być sobą?
Cenzura na twarz.
Kiedy być sobą?
To wciąż nie ten czas.
Gdzie mam być sobą?
Tu toczy się kwas.

Byle być sobą.
Bądź tylko sobą.
Bądź tylko sobą.
Bądź tylko sobą.
Bądź tylko sobą.
Byle być sobą, byle nie byle jak.

To jak?
To jak?
To jak?
No, jak?
No, jak?

Byle nie byle jak.

Wieczorem przylatują do mnie z daleka.

Niesione magią zanikającego dnia.

Przychodzą do mnie niby z zaświatów.

Tęsknoty z zapomnianego dna.

Przypominają mi o kruchości życia.

Otaczają serce chwilą zwątpienia.

Wręczają nostalgię błękitnego wycia.

Zmuszają, bym odpłynął w marzenia.

W przyszłość rzucam wzrok i dostrzec tam ciebie nie mogę.

Po krainie myśli błędę bez końca.

W przyszłość zarzucam mą sieć, lecz znajduję w niej tylko przestrogę.

Przestrogę czarnego, krwawego końca.

Narodzie krótkowzroczny.

Zaślepiony wizją łatwego zysku.

Otwórz swe oczy, zbudź się ze snu.

Czy nie widzisz, jak twój naród karleje?

Czy nie czujesz, jak szybko zanikasz?

Niewiele zostało w tobie z twej duszy.

Pozostanie po tobie tylko granica.

Lecz ciebie w niej już nie będzie.

Ciebie w niej już nie będzie.

Przeciętność wplotła się w każdą godzinę życia.

Ubrana w ciszę i pustkę.

Już tylko pięć, cztery, trzy sekundy do mojego wycia,

Do odbicia w krągłym lustrze.

Północny zegar uderza w gong, przyzywa duszność i zmary.

Uratuje mnie ten płynny song, odgoni smutki i potwory.

Do czasu snu, aż ciemność pochłonie mój umysł.

Morfeusz porwie tam, gdzie rządzi szósty zmysł.

Piszę o śnie nie czując senności.

Piszę o sercu nie znając czułości.

Piszę o sobie nie mając wyboru.

Piszę o zmorach nie znając potworów.

Ciężar.

Jak pisać o nim bez narzekania?

Ciężar.

Jak zrzucić go bez zabijania?

Noc.

Złęknionym gestem tak wątlých ust prosisz o szczyptę czułości.
Pośród jałowych ziem ciężką pracą walczysz o spełnienie snów.
Żeglując po morzu wczorajszych łez, wyglądasz i łakniesz miłości.
Serce wciąż do przodu gna pragnąc doświadczyć piękna dwóch słów.

Niebiosa wręczę ci.
Słowa zgaszą ostatni blask.
Wszystko zacznie się od nowa.
Przyziemne troski okraszają świt.
Udaj się tam, gdzie nie trzeba już walczyć o miłość i słodycz ust.
Wszystko zacznie się od nowa.
Zostaną tylko słowa.

Łagodnym gestem twych miękkich ust ku niebu unieś mnie.
Czernią nocy oczaruj i sprowadź srebrnych Perseidów deszcz.
Światłem dwóch serc odkryjmy to, co skryte na samym dnie.
Intymnie, błogim szeptem, podaruj mi słodkiej miłości dreszcz.

Niebiosa wręczę ci.
Słowa zgaszą ostatni blask.
Wszystko zacznie się od nowa.
Przyziemne troski okraszają świt.
Udaj się tam, gdzie nie trzeba już walczyć o miłość i słodycz ust.
Wszystko zacznie się od nowa.
Zostaną tylko słowa.

Kocham cię.

Tak niewiele trzeba by dusza człowieka
Zaznała spokoju, wśród wojen i znoju.
Tak drobna potrzeba małego człowieka
Wygląda zbawienia bez chwili wytchnienia.

Na ćwiartki.
Na ćwiartki posiekaj sumienie.
Te ćwiartki nazwane brzemieniem.
Zapakuj w koperty i wyślij je w świat.
Zapomnij o nich na najbliższe sto lat.

Szmina

1 IX 2023 – 27 I 2024

Biegam nagusieńka, bo urodziłam się goła.
Ojciec na mszę dzwoni, lecz nie pójde do kościoła.
Ja z naturą żyję w zgodzie więc zgrzeszyć nie zdołam.
Nie pójde do kościoła.
Nie pójde do kościoła.

Co noc two ramiona obejmują moje ciało.
Ja nigdy nie odmawiam, kiedy czuję, że ci mało.
Namiętności ciała tobie wręczam, ile tylko zdołam.
Ty mówisz, że ci mało.
Ty mówisz, że ci mało.

Są kobiety, które swoje twarze naciągają.
By mieć piękno ciała swoje piersi wypychają.
Ja kompleksów nie mam, mi wystarcza tylko szmina.
Nic więcej tylko szmina.
Nic więcej tylko szmina.

Wąsem zamiótł dziewiczą pajęczynę.
Zostawił kobietę, gdzie spotkał dziewczynę.
To czarna wdowa pajęczynę jej utkała
Krwawą przestrogą:
Nie oddawaj swego ciała!

Grzechem rozgrzał skostniałą parafinę.
Smakował dziewicę jak słodką malinę.
Swym wąsem sprawił, że o wdowie zapomniła.
Krzyknęła śmiało:
Dalej, skosztuj mego ciała!

Po zwłokach

27 I – 12 V 2024

Nie pozwalam na swobodny wdech czy ruch.
Tu zabraniam takich uczuć, takich snów.
Lepiej zapomnij o przyszłości lepszej już
I nie przekraczaj granic, nie przekraczaj dróg.

Żadnych szaleństw tu nie doświadczysz.
Dzikich atrakcji stąd nie wypatrzysz.
Doczesne pasje nie zjawiają się.
Wątpła nadzieja wypali się.

Po moich zwłokach nieruchanych.
Być może tylko wtedy będzie tak, jak chcesz.
Po zgonie niekontrolowanym.
Swoje marzenia wreszcie spełnisz tak, jak chcesz.

Tak wiele czasu wolnego przez palce przepływa.
Tak mało, że prawie wcale chęci i sił mi przybywa.
Cierpliwie jak czapla na łowach stoicką trzymam gardę.
Lenistwem, śpiewem lub tańcem odrzucam zegara tarczę.
Czas nie płynie, nie pędzi, gdy człowiek już go nie mierzy.
Gdzie bogów nie ma i świętych, tam również nie ma papieży.
Tam, gdzie jestem tylko sam jeden, nie ma dwoje, nie ma nas.
Gdy słońce zza chmur się wyłania, odsłaniam również mą twarz.
Krokiem wzmocnionym życiem w dostatku kontynuuję mój długi marsz.
Życie dla życia, wydech dla wdechu, wypełniają mnie jak suty farsz.
Tak mi dobrze, tak dobrze i więcej nie chcę nic.
Tak mi dobrze, że czasem odechciewa mi się żyć.

KONIEC